

Helsinki, 1995-2002.

*True love*

*You're the one I'm dreaming of*

*Your heart fits me like a glove*

*And I'm gonna be true blue baby I love you*

*No more sadness, I kiss it good-bye*

*The sun is bursting right out of the sky*

*I searched the whole world for someone like you.*

(Madonna: True Blue)

Piki była bez wątpienia najpopularniejszą lesbijką w Helsinkach, kiedy przybyłam do miasta jako młoda i niedoświadczona dziewczyna. Była ode mnie starsza o dziesięć lat i zdążyła zobaczyć już wszystko, co helsińska branża miała do zaoferowania. Dokładnie wyszorowała kuflami lady zarówno tych upadłych jak i ciągle działających barów; obmyła je własnymi rzygami a czasem i krwią z nosa jakiejś małej, nachalnej pancernerj. Uczestniczyła w festiwalach tolerancji i paradach równości, przesiadywała w klubie Gambrini, jej uśmiechnięte oblicze pojawiało się na stronach gazety Seta. Znała wszystkich i wszyscy znali ją.

Przede mną spała z pięćdziesięcioma pięcioma kobietami, kradła samochody i handlowała speedem. Miała tatuaże, poprzekłuwane ciało, słuchała Musta Paraati i Lords of the New Church. Paliła Camele i wiązała swoje glany czerwonymi sznurówkami. Do męskich koszul nosiła czerwone szelki, spodnie do kolan i krawaty. A meszek na jej twarzy sprawiał wrażenie takiego, który idealnie laskotałby pomiędzy udami.

Piki była tą, której szukałam. Dokładnie tą, dokładnie taką. Kochana Piki.

Podnosiła mnie na swoje plecy lekko jak piórko i przytulała tak mocno, że tonęłam w jej objęciach. Podczas snu chciała wdychać zapach mojego karku. To było dla niej ważne, więc zawsze podnosiłam włosy tak, żeby nie miała z tym problemu. Rękę kładła na moim brzuchu w taki sposób, żeby jeden z jej palców zawsze znajdował się w moim pępku. Dopiero wtedy była w stanie zasnąć. Nie musiała zdejmować bojówek ani koszuli. Jeśli tylko mogła oprzeć swój nos o mój kark... I trzymać go tak całą noc.

Nie zmieniając pozycji, tuliła mnie do siebie do rana, w gnieździe ciasno splecionym ze swoich rąk. Nigdy nie zdarzyło się, żeby było mi zimno, choć Piki zawsze, bez względu na porę roku, spała przy otwartym oknie. Tak mocno mnie obejmowała. Tak mocno i ciepło, że nie marzłam nawet wtedy, gdy śnieg wpadał zimą przez okno do sypialni.

Piki umawiała się z dziewczynami od szesnastego roku życia. Tam na północy, w swojej malutkiej wiosce, miała starszą od siebie o trzy lata dziewczynę, z którą uprawiała seks w swoim punkrockowym pokoiku, otoczona plakatami, płytami i opakowaniami po lakierze do włosów. W lesie też, i w parku, i w toaletach, i w szkole, i w stołówce, na każdym przyłasku i na rogu każdej ulicy. Dziewczyna co rano zawoziła Piki do szkoły autem, a popołudniami odbierała ją stamtąd. Piki wskakiwała do jej rockowego, czarnego, skrzypiącego auta i razem jechały się kochać. Moim zdaniem to wszystko było cool.

Piki robiła obłądne drinki i świetnie gwizdała. Potrafiła szarmancko zachować się na mieście, zdjęć drugiej dziewczynie płaszcz. Zamawiała taksówki, szukała wolnych krzeseł, gwarantowała satysfakcję. Do branzowych barów zabierała mnie zawsze poza kolejnością i wszystkim przedstawiała. Na imprezach tańczyłyśmy do wolnych kawałków i Piki wydychała powietrze na mój kark. Było idealnie.

Telefon Piki dzwonił nieustannie. W restauracji jej stół momentalnie wypełniał się znajomymi.

- Jak tam, stara lesbo?

- Nic specjalnego, co tam?

Myślałam, że dziewczyna to jakaś stara znajoma, ale skąd – Piki ciągle znajdowała sobie nowych. Potrafiła wytrzasnąć jakąś dziewczynę z północy albo z głębi niewiadomo jakiej szuflady i zabrać ją na imprezę. Albo przedstawić znajomym nikomu nieznaną parę dziewczyn z Imatry. Dziewczyna z północy kopiowała swoimi ubraniami styl Piki – w tym

samym sklepie kupiła taką samą parę bojówek i podobne glany, obcięła włosy na krótko w podobny sposób, a nawet zaczęła wypowiadać się podobnie jak Piki, opowiadać innym usłyszane od niej żarty i nazywać wszystkich wymyślonymi przez Piki pseudonimami. Była też bliska decyzji o przekłuciu sobie nosa. Wprawdzie tamten kolczyk w języku Piki był całkiem cool, ale może jednak lepiej byłoby zacząć od nosa. Jeszcze zobaczymy. Piki powiedziała, że to nie boli, to znaczy w języku, ale język to jednak... język – istotny narząd dla kobiety lubiącej kobiety. I ten ironiczny uśmiech na twarzy, całkiem w stylu Piki.

Gdy spotkałam dziewczynę po raz kolejny, język miała już oczywiście przekłuty i z dumą pokazywała go Piki. A Piki śmiała się tym swoim wszystko rozumiejącym śmiechem, który słyszałam tak często. Jej śmiech miał zawsze jakieś zabarwienie, odcień, który mówił „ja wiem, jak trzeba ciebie pieprzyć”. I gdy wyrażała to swoim głosem, żaden rozmówca ani przez chwilę nie wątpił, że to prawda.

Głos mówiącego wokalisty zazwyczaj rozczarowuje – jest tak zwyczajny i codzienny. Cudowność głosu Piki nigdy się jednak nie zmieniała, bez względu na to, co z nim robiła. Gdy chciała, mogła głosem owinać sobie wokół palca każdego, czy to kobietę, czy mężczyznę, psa czy kota. Swoim głosem uspokajała burze i płaczące dzieci, jego dźwięk usypiał cierpiących na bezsenność i sprawiał, że niespokojnym robiło się łżej na sercu. Jej głos rozbijał każdego wroga, ale mieszał go z błotem w sposób słodki i olśniewający, nieodparty w swojej zjadliwości.

Głos Piki rozciągał się, wił i skręcał, mógł zmienić się w głos kogokolwiek i potem równie szybko odzyskać swoją pierwotną, kremową formę. Wszystkie słowa opisujące boskie głosy, w przypadku jej głosu wydawały się nieodpowiednie, ponieważ nie przypominał on dźwięków wydawanych przez żadną znaną osobistość, żadną piosenkarkę, prezenterkę radiową czy telewizyjną. Nie był „aksamitny” ani „głęboki” ani „szorstki”, choć wydawał się słodki niczym skóra na piersiach, dotyk aksamitu na szyi albo ciepła dłoń wsuwająca się pod bluzkę. Tak jakby pił ciemne kakao i jadł migdały. Owszem, bywał też szumiący, ale w taki sposób jak szumiący potrafi być las podczas letniej nocy – jednocześnie przejrzysty, z drzewami niewidocznymi w ciemności i błyszczącym niebem. Słuchać go to jakby kłaść głowę na poduszce wypełnionej płatkami róż i lilii. Jego brzmienie było niczym zapach kardamonu. I cynamonu. Jak gdyby wyśpiewywał go kos, swoim kardamonowo-cynamonowym gardłem.

Piki była zawsze błaznem i mistrzynią żartu; jej głos był głosem płaczącego klauna, który oślepił i oszukiwał, ukrywał wszystko to, co Piki chciała pozostawić niewidzialnym.

Za głosem mogła się bezpiecznie ukryć. Był jej kamuflażem, który zmieniał się nieustannie, w zależności od okoliczności. Nikt nie mógł nawet podejrzewać, że podobnie wspaniała i czarująca osoba mogłaby mieć jakiegokolwiek problemy. Piki była tak sprytna, tak szybka. Zanim ktokolwiek się zorientował, zdążyła nakreślić werbalną karykaturę nowopoznanej osoby, karykaturę składającą się często tylko z jednego, trafnie dobranego słowa, które przyprawiało o śmiech całe towarzystwo i sprawiało, że obiekt żartu czerwieniał się i wycofywał. Piki była w tym tak cholernie prędką, że nikt nigdy nie zdążył się nawet obronić.

Oczywiście, mnie również się dostało. Jako że miałam duże jak na kobietę stopy, Piki nazywała mnie platformą, moje buty nartami, a skarpetki – pokrowcami na narty. Każdego dnia otrzymywałam jakiś nowy pseudonim. Ponieważ miałam duże usta, byłam kaczym dziobem.

- Uważaj, żeby nie przytrzasnęły go drzwi!

Ponieważ miałam duży nos, codziennie obchodziłam Halloween. A gdy prosiłam Piki, żeby przestała, odpowiadała:

- Przecież to lubisz!

Piki zaślepiała mnie swoimi uszczypliwościami tak bardzo, że minęło sporo czasu zanim nauczyłam się rozpoznawać, kiedy mówiła na serio. Kiedy naprawdę się bała. Kiedy przez jej głos przebijał paniczny strach.